

**Małgorzata Olejarsz**  
Uniwersytet Zielonogórski

## „Życ w zgodzie ze sobą...” Profesora Józefa Kargula opowieści (auto)biograficzne

“Living in harmony with oneself...” Professor Józef Kargul’s  
(auto)biographical stories

**Streszczenie.** Artykuł przedstawia wspomnienia autobiograficzne Profesora Józefa Kargula – wybitnego pedagoga, andragoga, nauczyciela akademickiego, związanego przez lata z Uniwersytetem Wrocławskim, Uniwersytetem Zielonogórskim i Dolnośląską Szkołą Wyższą, współtwórcy i kierownika naukowego Letniej Szkoły Andragogów i Poradodawców oraz serii wydawniczej „Dyskursy Młodych Andragogów”, funkcjonującej dzisiaj jako czasopismo naukowe. Profesor we wspomnieniach wraca do dzieciństwa i młodości, opowiada o swojej drodze edukacyjnej i naukowej, ważnych doświadczeniach życiowych, kluczowych wydarzeniach i osobach znaczących, które wywarły wpływ na Jego życie. Dzieli się przy tym również refleksjami na temat stanu współczesnej nauki, jak też tego, co Jego zdaniem jest w życiu najistotniejsze.

**Słowa kluczowe:** biografia; autobiografia; doświadczenia życiowe; kluczowe wydarzenia; osoby znaczące.

**Summary.** The article presents the autobiographical memories of Professor Józef Kargul – an outstanding teacher, researcher on adult education, academic teacher, for years associated with the University of Wrocław, University of Zielona Gora and University of Lower Silesia, co-founder and scientific director of the Summer School for Young Researchers on Adult Education and Counsellors and the series “Adult Education Discourses”, functioning today as a scientific journal. Professor Kargul flashbacks to his childhood and youth, talks about his educational and scientific career, important life experiences, key events and important people that have had an impact on his life. He also shares some reflections on the condition of modern science, as well as what he believes is most important in life.

**Keywords:** biography; autobiography; life experiences; key events; significant people.

W naszą kulturę, w tym również kulturę świata akademickiego, na stałe wpisany jest miły zwyczaj uroczystego świętowania i celebrowania różnego rodzaju rocznic i jubileuszy, związanych z długoletnim życiem, działalnością i dokonaniem ważnych dla nas postaci, które szczególnie cenimy oraz których znaczenie i wkład w rozwój naszych małych światów chcemy podkreślić, wyróżnić i uhonorować. Uroczystości te i zdarzenia są również doskonałą okazją dla tych, którzy je organizują i w nich uczestniczą, by wyrazić swoje uznanie dla jubilata oraz podziękowania za to, co zrobił i czego dokonał. Problem pojawia się jednak, gdy... jubilat nie chce obchodzić swoich jubileuszy i niechętnie wyraża zgodę na różnego rodzaju uroczystości rocznicowe, których miałby być głównym bohaterem. Tak rzecz się ma w przypadku prof. Józefa Kargula – doskonale wszystkim nam znanego uczonego, mentora, nauczyciela i organizatora nauki, którego wieloletni wkład w rozwój andragogiki i pedagogiki społecznej, w tym badań problematyki upowszechniania i animacji kultury, jest nie do przecenienia. Dorobek naukowy prof. Józefa Kargula, który w czerwcu 2016 roku obchodził swoje 80 urodziny (w tym przypadku słowo „obchodził” jest pewnym nadużyciem językowym, ponieważ profesor tego typu rocznic specjalnie nie celebruje) jest imponujący. Gdyby spojrzeć nań tylko okiem statystycznym, to należałoby wymienić, że prof. Józef Kargul jest autorem/współautorem 14 ważnych monografii i podręczników akademickich, redaktorem/współredaktorem 15 monografii zbiorowych, autorem/współautorem 87 rozdziałów w monografiach lub podręcznikach akademickich, 68 artykułów w czasopismach naukowych, 14 publikacji pokonferencyjnych, 22 prac popularno-naukowych. Podobnie nie do przecenienia jest wkład prof. Józefa Kargula w rozwój kadry naukowej – wypromował do tej pory 13 doktorów, był recenzentem 26 rozpraw doktorskich oraz 12 rozpraw habilitacyjnych, a także recenzentem w kilku postępowaniach o nadanie tytułu naukowego profesora. W tym obszarze aktywności trzeba też odnotować recenzje wydawnicze; tylko od 2006 roku (bo od wtedy dopiero są ewidencjonowane) wykonał ich 60. Brał ponadto udział w wielu krajowych oraz międzynarodowych projektach i programach badawczych, był i nadal pozostaje członkiem wielu znaczących organizacji, stowarzyszeń i komitetów naukowych, rad redakcyjnych czasopism, zespołów ekspertów itd.

W tym dokumentarnym, i siłą rzeczy bardzo ogólnym, spojrzeniu na bogaty dorobek prof. Józefa Kargula, warto szczególnie podkreślić ten rodzaj działań i przedsięwzięć naukowo-organizacyjnych, których Pan Profesor był współinicjatorem i przez lata opiekunem naukowym, a które to przedsięwzięcia na stałe weszły do naszego akademickiego, w tym przede wszystkim andragogicznego, świata. Mam tu na myśli zapoczątkowaną w 1999 roku w Zielonej

Górze Letnią Szkołę Młodych Andragogów (przekształconą po kilku latach na Letnią Szkołę Andragogów i Poradodawców, organizowaną naprzemiennie przez Uniwersytet Zielonogórski i DSW we Wrocławiu), której prof. Kargul do dzisiaj pozostaje kierownikiem naukowym i mentorem, przyciągającym młodych (i nie tylko młodych) badaczy, by wspólnie, pod okiem mistrzów, mogli rozwijać tu swoją wiedzę i umiejętności, mogli dyskutować, wymieniać się doświadczeniami, wzajemnie się poznawać. Owo uczenie się młodych uczestników Szkoły i działania podejmowane w jej ramach były przedmiotem opisu i analizy w kilku artykułach naukowych (Olejarz 2006, Czuba-Koch 2009), a 10-lecie Szkoły było z kolei pretekstem do podzielenia się wspomnieniami i refleksjami tych, którzy kilkakrotnie brali w niej udział (Olejarz 2009). Z Letnią Szkołą Młodych Andragogów nierozłącznie jest też związana historia czasopisma naukowego „Dyskursy Młodych Andragogów”, które w 2000 roku zostało pomyślane jako cykliczna seria wydawnicza pod naukową redakcją prof. Józefa Kargula, w której to uczestnicy szkoły – adepci nauki, zajmujący się problemami edukacji dorosłych, mogliby publikować artykuły, a czasami stawiać swoje debiutanckie kroki w pisarstwie naukowym. Po sześciu latach prowadzenia i redagowania tej serii Profesor Kargul „z ufnością” – jak sam podkreślał – przekazał ją w ręce swoich uczniów, tak by kontynuowali jego dzieło, ale też by nadali mu własną koncepcję i charakter, co nie jest tak częstą praktyką w naszym akademickim świecie.

Bardzo liczne jest grono uczniów i współpracowników prof. Józefa Kargula, które jest mu wdzięczne za jego pomoc, wsparcie, opiekę naukową, merytoryczną i organizacyjną, za jego życzliwe słowa, ale też i konstruktywną krytykę, której nam, gdy taka była potrzeba, nie szczędził – zawsze jednak czynił to w dobrej wierze i z jak najlepszymi intencjami, z największą przyjemnością uhonorowałoby swojego nauczyciela i mentora, organizując uroczystość jubileuszową na jego cześć, z tym, że „nasz Profesor”, jak wcześniej wspomniałam, za uroczystościami, których byłby głównym bohaterem, nie przepada (delikatnie rzecz ujmując). Udało nam się jednak z okazji (a raczej przy okazji) 80 rocznicy urodzin Pana Profesora namówić go na podzielenie się wspomnieniami ze swojego życia na łamach „Rocznika Andragogicznego”, którego redakcja kilka lat temu zapoczątkowała serię tekstów poświęconych biograficznym wspomnieniom znanych i cenionych polskich pedagogów, andragogów, poradodawców – naszych mentorów i nauczycieli (Góralaska 2014, Woźnicka 2015).

Bogaty materiał, uzyskany w wyniku długiej i niezwykle interesującej rozmowy-wywiadu, który przeprowadziłam z prof. Kargulem w czerwcu 2016 roku, musiał oczywiście zostać poddany odpowiedniej selekcji, orga-

nizacji i strukturyzacji, tak by po pierwsze – czytelnicy mogli jak najwięcej dowiedzieć się o prof. Józefie Kargulu (w tym przede wszystkim tego, czego w oficjalnych źródłach nie znajdują), a po drugie – tak by Pan Profesor pozostał w zaprezentowanym tekście „sobą” – zgodnie ze swoim *credo* życiowym, które ujawnił w naszej rozmowie i które stało się również tytułem niniejszego tekstu – „Żyć w zgodzie ze sobą...”. Opracowując materiał, zastanawiałam się też, czym ten materiał jest – (auto)biograficznymi refleksjami, wspomnieniami, obrazami...? Uznałam, że najbardziej odpowiednim określeniem, pasującym również do stylu bycia profesora i charakterystycznego dla niego barwnego sposobu wypowiedzi, będą „opowieści”. Ci, którzy mieli okazję bliżej poznać profesora, pewno przyznają mi rację – prof. Kargul, oprócz niewątpliwie wielu zasług i zalet, które posiada, jest także znany i ceniony jako „opowiadacz” wszelakich historii, anegdot, dykteryjek, zabawnych sytuacji i różnego rodzaju „ciekawostek” (określenie chętnie przez profesora używane). Poza tym opowieść, obok opowiadania i narracji, jest – jak pisze Agnieszka Bron – „pojęciem używanym na określenie czynności, kiedy mówimy lub piszemy o jakimś zdarzeniu, w której zawarte są kategorie przestrzeni i czasu, akcji, zdarzenia, spisku i puenty” (Bron 2009, s. 44). Autorka dodaje też, że opowiadanie o życiu „pomaga nam odnaleźć znaczenie i sens życia, sens w tym, co robimy, co czujemy, co myślimy, jak działamy, jakie mamy relacje z najbliższymi i z przypadkowo spotkanymi ludźmi, innymi słowy: jacy jesteśmy” (Bron 2009, s. 44). Opowiadając o swoim życiu, prof. Kargul opowiada nam jednocześnie o sobie samym, o tym, jaki jest, a my, będąc czytelnikami i odbiorcami jego opowieści, mamy też okazję, by zadać samym sobie pytanie: jacy my jesteśmy i jaki jest świat, w którym my żyjemy? W opowieściach innych przejrzyć się można niekiedy jak w soczewce, mogą one też zainspirować nas do budowania własnej narracji o sobie i swoim życiu (bez względu na zaistnienie bądź nie tzw. okoliczności jubileuszowych), skąd już niedaleka jest droga do świadomego, biograficznego uczenia się (Solarczyk-Szwec 2015).

W zaprezentowanym poniżej materiale moją szczególną uwagę przykuło kilka kwestii. Po pierwsze – znaczenie, jakie profesor nadaje miejscu i światu, z którego pochodzi, rodzinie, w której się wychował i dorastał, oraz wpływie rodziców i rodzeństwa na jego życie. Po drugie – znaczenie, jakie profesor nadaje przełomowym, acz trudnym wydarzeniom w swoim życiu, związanym z doświadczanymi niepowodzeniami, porażkami i trudnościami, które wymagały od niego podjęcia ważnych decyzji życiowych, dokonania istotnych wyborów, i które w efekcie nie tylko zaważyły na całym jego dalszym życiu, ale też wedle mnie w ogóle ukształtowały postawę profesora wobec życia, w różnych

jego obszarach i odsłonach. Ten rodzaj nadawania znaczeń własnym doświadczeniom i konstruowania narracji o sobie przywodzi mi na myśl tekst Alicji Jurgiel-Aleksander poświęcony społecznym wymiarom biografii edukacyjnych dorosłych, w którym autorka, odwołując się do badań własnych, prezentuje pięć typów narracji analizowanych pod kątem znaczeń, jakie badani nadawali własnemu uczeniu się, kształceniu, studiowaniu, wiedzy oraz własnemu poczuciu sprawstwa (Jurgiel-Aleksander 2015, s. 83). Jeden z opisywanych tam typów narracji – „Muszę dać sobie szansę” – częściowo odnajduję również w opowieściach prof. Kargula, biorąc pod uwagę, że – jak pisze autorka – wspólną cechą tych opowieści jest z jednej strony głęboka świadomość własnego pochodzenia społecznego, a z drugiej budowanie aspiracji, związanych nie tylko z materialnym statusem, ale też z kulturowym kapitałem. Reprezentujący ten typ narracji nie odcinają się od swoich korzeni; pochodzenie społeczne nie jest dla nich balastem, ale raczej stanowi pretekst do pomyślenia o życiu własnych rodziców, którzy nie mieli szansy zdobyć wykształcenia a badani je mają (Jurgiel-Aleksander 2015, s. 91). Podobny sposób myślenia o swoim pochodzeniu i sytuacji życiowej oraz szansie, jaką stwarza zdobycie wykształcenia, znajdują również w (auto)biograficznej opowieści profesora, szczególnie z okresu jego wczesnej młodości. Wreszcie trzecią kwestią, która według mnie w poniższym materiale zwraca szczególną uwagę, jest sposób, w jaki Pan Profesor opowiada o znaczeniu w jego życiu ważnych dla N]niego osób, wśród których, oprócz mentorów swoich i nauczycieli, z wielką czułością mówi o osobach z najbliższego, rodzinnego otoczenia – żonie, dzieciach, wnukach, rodzicach i rodzeństwie. Niewątpliwie są to dla profesora osoby, które odegrały w jego życiu rolę wyjątkową, stąd też w jego (auto)biograficznej opowieści zajmują miejsce tak szczególne.

By nie przedłużać tego wprowadzenia i jednocześnie nie narzucać czytelnikom swojej interpretacji poniższego materiału, zapraszam do barwnej opowieści prof. Józefa Kargula, w pełni oddając mu głos.

## **Dzieciństwo pamiętam szczęśliwe**

Urodziłem się w rodzinie chłopskiej, gdzie wpisana była w życie codzienne bardzo ciężka praca rodziców, ale także moja. Jak tylko trochę podrosłem, to musiałem pomagać ojcu. Jednym słowem powiem tak, moje dzieciństwo to była czułość, ale to były też wymagania i było też zaufanie. Moja matka była osobą, która trzymała twardo całą rodzinę silną ręką. Pamiętam z dzieciństwa, że jak trzeba było rozwiązać jakiś problem, to mama mówiła: „Słuchaj chłopie... – do swojego męża – bo ja sobie tak myślę...” i tu następował cały wywód. I w rezul-

tacie zawsze doprowadzała do jakiegoś porozumienia, do rozwiązania problemu. Nie było wulgarnego języka w naszym domu. Matka umiała czytać i wieczorami czytała książki, a słuchaliśmy my i sąsiedzi. Ojciec umiał czytać, umiał pisać, ale słabo. I oto obrazek z dzieciństwa. Przychodzi do nas sąsiad strasznie zmartwiony, bo miał zegarek z łańcuszkiem z dewizką, lecz gdy pochylił się nad studnią, to ten zegarek wpadł mu do wody. I pyta mojego ojca: „Słuchaj Jędrzej, kurczę, co zrobić?”. Niemal przy tym płakał, bo zegarek był pamiątkowy. Poszli do tej studni, ja też... Patrzą, wody dużo, wylewać to po wiaderku i szukać? Jak tu się dostać, czym? I wtedy ojciec wymyślił coś takiego – na długim drążku zamontował zakrzywione cztery druty, wpuszczał je, kręcił, kręcił i... wydobyl ten zegarek. Ojciec był niesłychanie pomysłowy, samouk absolutny. [...] A u mnie zauważyli jakieś tam ciągoty do książek i do nauki, i bywało tak, że siedzę, odrabiam jakieś zadanie, a ojciec: „Józek! Trzeba mi pomóc...”. Kiedy widział, że siedzę w książkach, najczęściej mówił: „A to siedź, siedź, rób sobie tam swoje”. Byłem więc chłopakiem pomagającym rodzicom, czasami ciężko pracującym, ale też... czytającym książki; chłopakiem, który specjalnych kłopotów wychowawczych nie sprawiał. Owszem, były tam jakieś psoty, łażenie po drzewach i tam gdzie nie trzeba, ale wtedy słyszałem: „Józek, coś ty zrobił... Zgłupiałeś?”; tylko tego typu dostawałem jakieś przygany.

## **Z rówieśnikami kłopotów nie miałem**

Brat był młodszy o cztery lata. To ten brat zawsze ze mną łąził. Ja byłem zły, bo tutaj starsi koledzy, taka różnica wieku... Było nas trzech chłopaków z sąsiedztwa i myśmy się trzymali razem. Później oni poszli gdzieś do zawodówek, a ja poszedłem do liceum i tam poznałem też innych kolegów. Pamiętam, że na podwórku nie mieliśmy nawet piłki, bo to bieda była straszna... O tym nie chcę mówić. Kolega z miasta pożyczył mi piłkę i tę piłkę przyniosłem do mojej trójki... O, jak myśmy się cieszyli! Można było wreszcie grać sobie i kopać do woli, bo pożyczył ją na parę dni. Nie miałem kłopotów z rówieśnikami. Dobrze się dogadywaliśmy, trzymaliśmy się razem, nigdy nie czułem się odrzucony, ale też nie miałem tendencji do przywództwa.

## **Nie powiem, że bym uczniem był wybitnym**

Nie byłem wybitny. Nie, w szkole podstawowej to byłem dobrym uczniem. W szkole średniej byłem kiepskim uczniem, a to dlatego, że w pierwszej kla-

sie liceum zachorowałem na szkarlatynę i leżałem trzy miesiące, nie wiem nawet, czy nie więcej, nie chodząc oczywiście do szkoły, i nauczyciele mnie przepuścili z tymi zaległościami do następnej klasy, i to był błąd. Nie zdążyłem nadrobić materiału. I te zaległości ciągle się za mną wlekły. Szczególnie w matematyce i fizyce, bo z przedmiotami humanistycznymi to sobie dawałem radę. I ta niechęć do matematyki oraz zaległości spowodowały, że... nie dopuszczono mnie do matury! To było dla mnie trudne, osobiste doświadczenie, bo wie pani, z tej matematyki jak dostałem dwóję, potem dołożyła się fizyka, to sobie pomyślałem: „To po jaką cholere będę się do czego innego przygotowywał, przecież i tak nie zdam”. I rzeczywiście, proszę wysokiego sądu, nie dopuścili mnie do matury.

### **Ojciec powiedział: „Dokonaj wyboru”**

To była moja duża porażka, że nie dopuszczono mnie do matury. I ojciec powiedział mi wtedy tak: „Słuchaj, Józek, jest taka sytuacja. Tu w spółdzielni produkcyjnej potrzebują jakiegoś tam... To wybieraj, albo idziesz do roboty, albo zdasz maturę. To jest twój wybór”. Potraktował mnie poważnie. Wtedy człowiek dojrzewa, bo sam podejmuje decyzję i nie może na nikogo zważyć, że ktoś za niego zadecydował. Uświadomiłem sobie, że była i trzecia droga – pozostanie na gospodarstwie. Przecież wszystkie prace polowe umiałem robić. Kosiłem, orałem i tak dalej. Te prace polowe to dla mnie była codzienność. Ale że ojciec powiedział „Dokonaj wyboru”, to zdecydowałem: „Wybieram naukę!”. Powtórzyłem klasę i maturę zdałem za rok. Wie pani... ja ponoć nawet byłem dobry z tej matematyki... I tu ciekawostka, bo później, jak poszedłem na studia i byłem z kolegą najlepszy na roku z logiki, która była bardzo trudnym przedmiotem, to ten mój kolega mówi: „Słuchaj, dlaczego ty nie jesteś na matematyce?”. Ja na to: „Bo nie... przecież ja nie mam myślenia matematycznego...”. A on na to: „Jak to nie masz myślenia? Widocznie źle cię uczyli nauczyciele”. I coś w tym było na rzeczy.

### **Za to na studiach... byłem jednym z najlepszych studentów**

Po maturze wybrałem się na filologię polską do Gdańska. Egzamin wstępny zdałem, ale kiepsko, i z braku miejsc mnie na WSP nie przyjęli. W związku z tym dostałem skierowanie bez egzaminu do studium nauczycielskiego na filologię polską; tam poszedłem i tam byłem gwiazdą, bo rzeczywiście

bardzo mi odpowiadało to, czego się uczyliśmy – byłem jednym z najlepszych studentów. Niewątpliwie rozpoczęcie studiów to było wydarzenie dla mnie ważne, dlatego że... w studium nauczycielskim po prostu uwierzyłem w siebie. Po jego skończeniu poszedłem do pracy w szkole, a to była wiejska szkoła, w której pracowałem dwa lata i bardzo mi ta praca odpowiadała. Ale pewnego dnia pojawiło się ogłoszenie w gazecie, że otwierają w Gdańsku pedagogikę dla absolwentów studium. Poszedłem na egzamin wstępny, pojęcia nie mając o pedagogice. Wziąłem książkę Borisa Tieplowa pt. *Pedagogika*. Nudna jak flaki z olejem! W ogóle nie przeczytałem tego. Zobaczyłem, że na rynku w Tczewie, bo wtedy mieszkaliśmy blisko Tczewa, w księgarni jest książka Bogdana Suchodolskiego *Wychowanie dla przyszłości*. Rzuciłem okiem... Grube to, zacząłem kartkować... Ni cholery nie rozumiałem. I poszedłem na ten egzamin. Był egzamin pisemny i ustny. Tłum ludzi. Oczywiście każdy się przechwala, co on to czytał, gdzie czytał... Ja nic, zero kompletne. Ale siadłem do egzaminu pisemnego, a obok siedział kolega, który wyciągnął *Proces nauczania* Wincentego Okonia, bo trzeba było wymienić pięć książek pedagogicznych i scharakteryzować jedną z nich, takie było zadanie... I ten kolega zaczyna „zrzynać”. A ja mówię: „Słuchaj, daj mi spis treści”. On zrzynał z tekstu, a ja analizowałem spis treści. I potem dopuścili mnie do ustnego. Profesora Romana Miller pytała mnie o znane książki i ja wymieniam fikcyjną książkę. Wmawiam pani profesor, że taka jest, a ona pyta: „W jakich okładkach?”, a ja mówię: „W takich zielonych”. Wstydzę się tego do dzisiaj! A pani profesor na to: „Pan tu kręci strasznie!”. Mimo to jednak przyjęli mnie na studia. I znowu byłem jednym z najlepszych. [...] Lubiałem to studiowanie. Jak nam powiedział historyk wychowania, że trzeba pójść coś tam napisać, to siadałem, „ryłem” i pisałem. To znaczy lubiałem się uczyć i umiałem się uczyć, bo to chyba tak trzeba powiedzieć.

## **Musieliśmy z żoną wiązać jakoś koniec z końcem**

Na studiach poznałem żonę, byliśmy w jednej grupie i na ostatnim roku studiów pobraliśmy się. Jak skończyłem studia, poszedłem znowu do pracy, ale tym razem do wojewódzkiego domu kultury. Ponieważ pisałem pracę magisterską o domu kultury, miałem na studiach zajęcia organizowane w domu kultury, to ten dom kultury trochę poznałem i sobie pomyślałem: „To fajna robota”. [...] Z żoną przyjechaliśmy po studiach do krewnych do Wrocławia, dwoje młodych magistrów, poszukujących pracy. Postanowiliśmy, że to we Wrocławiu będziemy się jakoś tam „zawieszać”. I tak to się zaczęło...



Musieliśmy jakoś wiązać koniec z końcem... To były lata sześćdziesiąte. Bardzo trudne to wszystko było; dzisiaj nie do uwierzenia... Rodzina miała taki mały pokój na strychu, bez wody, bez ubikacji, koszmarnie warunki... We Wrocławiu żona poszła do pracy w poradni, ja do domu kultury i tam parę lat pracowaliśmy. W pewnym momencie żona dostała od swojego profesora, wybitnego zresztą dydaktyka – Kazimierza Sośnickiego, list: „Proszę pani, gdyby trzeba było pomóc... gdyby gdzieś pani starała się o pracę na uniwersytecie, to ja wydam pani opinię bardzo pozytywną”, a żona odpisała: „Niestety, ja mam małe dzieci i z tej oferty nie skorzystam w tej chwili”. Bo taki to był wtedy czas, inne priorytety... W domu kultury było studium kulturalno-oświatowe, tam się zatrudniłem, zrobili mnie kierownikiem wydziału kulturalno-oświatowego i z tymi studentami ciekawe rzeczy robiłem. Lubiłem tę robotę, bo tam byli młodzi ludzie, zdolni, błyskotliwi. Pani to wie, że najlepsza jest taka zbieranina, co to artyści-nieartyści, mieszkanki... no, fajni ludzie. I rzeczywiście to było coś wspaniałego, co z nimi tam się robiło. Ale prawdą też jest, że ja i żona marzyliśmy już wtedy o pracy na uniwersytecie...

## **I zaczęła we mnie kiełkować myśl o doktoracie**

Poszedłem do Katedry Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego, co by to się rozejrzeć za doktoratem, jednocześnie pracując. Na początku do kierownika, a był nim docent Marian Wachowski, który zapytał: „Czym się pan interesuje?”, więc mówię mu: „Mnie interesuje praca w domu kultury. Może bym na to spojrział jakoś badawczo, ze strony naukowej, bo tam pracuję...”. „E tam, proszę pana – na to on – te domy kultury raz są, raz ich nie ma. Co to jest? To w ogóle nie ma sensu”. Wyciągnął książkę Barteckiego i Chabiora pt. *O nową organizację procesu nauczania* i powiedział: „O, to jest dla pana!”. No i tyle mnie widział. Poszedłem bowiem do mojego profesora, który miał z nami w Gdańsku zajęcia z oświaty dorosłych, bo słyszałem, że otwiera seminarium doktorskie na UAM w Poznaniu. Profesor Edmund Harwas wtedy był docentem. Zaczęła się bardzo intensywna praca nad sformułowaniem tematu, problemu itd. W konsekwencji sprecyzowaliśmy, że to będzie „Kształcenie pracowników upowszechniania kultury”. I tak się zaczęło... Za własne pieniądze jeździłem do Warszawy, co jakiś czas na parę dni, do archiwum Ministerstwa Kultury i Sztuki. Spotkałem tam panią Marię Kowalczykową, która była w Ministerstwie odpowiedzialna właśnie za to kształcenie i miała w domu archiwum prywatne, i od niej między innymi dostałem bardzo ciekawe materiały, w tym dotyczące partyjnej szkoły dla pracowników liceum

kulturalno-oświatowego. Ostatecznie moja praca doktorska to była historyczno-pedagogiczna monografia, gdzie opisywałem te wszystkie formy stałe i kursowe, jakie były organizowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego itd. Na zbieraniu materiałów i pisaniu zeszło mi parę ładnych lat, w sumie chyba z dziewięć. Bo to wie pani, jak się pracuje... i to jeszcze na półtora etatu, bo oprócz pracy w domu kultury byłem też kierownikiem zaocznego studium kulturalno-oświatowego, a tu jeszcze doktorat... W każdym razie łatwo nie było.

### **W świecie akademickim poczułem się dobrze**

Uprawianie nauki, prowadzenie badań bardzo mnie wciągnęło; to mnie naprawdę interesowało. Doktorat był niewątpliwie dla mnie dużym sukcesem. Jak już go napisałem, to dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Wrocławskim zrobiono reformę studiów pedagogicznych i mój kolega ze studium kulturalno-oświatowego, który też pracował na uniwersytecie, powiedział: „Słuchaj, Józek, my poszukujemy ludzi do pedagogiki; ty przejdź się do dyrektora Instytutu Pedagogiki”. Poszedłem do docenta Zygmunta Szulca i pytam: „Czy jest szansa, żeby się zatrudnić?”. „No proszę pana, to pan wie, że u nas trzeba zrobić doktorat... No można się zastanawiać, ale czy pan ma pomysł na jakąś pracę badawczą?”. Na to odpowiedziałem: „Tak. W sobotę mam obronę pracy doktorskiej”. „Panie doktorze, to od kiedy?”. I w ten sposób zacząłem pracę na uniwersytecie. [...] Było wtedy dużo zajęć dydaktycznych, które zresztą bardzo lubiłem. Studenci byli różni, ale na ogół wiedzieli, po co przyszli na uniwersytet; poważnie traktowali studia. Niektórzy na studiach zaocznych, bo też były uruchomione, byli bardziej pracowici i więcej się uczyli niż stacjonarni. Wstyd powiedzieć, nie było tego, co teraz... Ci ludzie wtedy po prostu chcieli się uczyć. [...] Naukowo też byłem bardzo aktywny, co najmniej trzy artykuły w ciągu roku ukazywały się drukiem, bo wiedziałem, że na tym polega praca naukowa. Mogę powiedzieć, że dobrze poczułem się w akademickim świecie. I wiedziałem, że muszę pisać habilitację. To dla mnie było tak oczywiste, jak dwa razy dwa. [...] Pracę habilitacyjną napisałem cztery lata po doktoracie, ale z różnych, również personalnych, powodów pierwsze podejście do habilitacji zakończyło się niepowodzeniem, tj. kolokwium zdałem, ale przy nadaniu stopnia była równowaga głosów i... nie nadano mi stopnia. Odwołałem się do CKK, ale miałem też już pomysł na następną książkę i dalej robiłem swoje. Po pewnym czasie okazało się, że odwołanie uwzględniono, dołożyłem też następne publikacje i nadano mi sto-

pień. Miałem pełną satysfakcję, bo superrecenzentami moimi byli profesor Heliodor Muszyński i profesor Jan Szczepański; miałem więc superrecenzentów, „z najwyższej półki”. Na docenturę czekałem jednak dwa lata, bo... towarzysze partyjni zapomnieli wysłać w odpowiednim czasie „kwitek”, że jestem człowiekiem niepodważającym ustroju, więc po dwóch latach, jak wysłali „kwitek”, dopiero dostałem stanowisko docenta. Później był etap niesamowicie intensywnej, pięknej współpracy z profesorem Mirosławą Chamcówną, która była dyrektorem Instytutu Pedagogiki, a ja jej zastępcą. Trzeba przyznać, że tworzyliśmy zgrany tandem. [...] W 1987 roku zostałem z kolei wybrany na dyrektora Instytutu i też wspólnie z moimi współpracownikami tworzyliśmy zgrany zespół, do którego rok później dołączył Mieczysław Malewski. [...] Moim największym osiągnięciem administracyjnym jest to, że byłem dyrektorem Instytutu przed zmianami politycznymi i po zmianach. Były to bowiem czasy, w których dyrektorów prawie wszędzie pozmieniali, a ja pełniłem funkcję dyrektora „twardo” do 1993 roku. Doprowadziłem do tego, mówię to z pełną świadomością, że Instytut w sprawach naukowych był na Wydziale Filozoficzno-Historycznym traktowany na równi z historią, z historią sztuki i tak dalej, co przed tym nie miało miejsca. Tyle samo pieniędzy, tyle samo punktów. Dodatkowo załatwiałem duże środki na badania naukowe dla pracowników, na ich publikacje, wyjazdy na rozmaite konferencje itd. Wyhabilitowało się też w tym czasie sporo osób. To był rzeczywiście rozkwit Instytutu i takie też opinie wiele razy słyszałem od innych. Dobrze wspominam ten czas dyrektorowania, chociaż nie ukrywam, że pod koniec byłem już bardzo zmęczony.

## **Jak to z tą ideologią było**

Dokładnie powiem, jak to z tą ideologią było. Otóż była taka sytuacja: kiedy napisałem książkę habilitacyjną o pracowniku kulturalno-oświatowym i dałem do wydawnictwa, redaktorka ją przeczytała i mówi: „Proszę pana, ten fragment, ten fragment i ten fragment musimy usunąć, bo chyba nie chce pan, żeby taki los spotkał tę pana książkę jak poprzednią”. Ja zdumiony robię wielkie oczy... i mówię: „Proszę mnie łaskawie oświecić, bo o niczym nie wiem”. I co się okazało? Po ukazaniu się drukiem mojego doktoratu, dyrektor COMUK-u wziął parę egzemplarzy, poszedł do wydziału kultury Komitetu Centralnego PZPR i mówi: „Wydaliśmy taką ciekawą książkę Kargula”. Po paru dniach dostaje telefon i słyszy: „Natychmiast wstrzymać nakład, nie wysyłać. Jeżeli macie wydrukowane, to zniszczyć”. O co chodziło? Otóż tam

pokazałem, opierając się na materiałach archiwalnych, jak indoktrynowano w partyjnej szkole pracowników kulturalno-oświatowych. Przeanalizowałem program i pokazałem, że treści kulturalno-oświatowe to było zaledwie 10 czy 11 procent, a reszta programu to historia partii komunistycznych, historia Związku Radzieckiego, historia ruchu komunistycznego na świecie, historia socjalistycznej Polski... Więc przede wszystkim wciskanie ideologii. Co więcej, dostałem też od pani Kowalczykowej wydrukowany wykład inauguracyjny, wygłoszony w tej partyjnej szkole, w której, jak na owe czasy, były stosowane najnowocześniejsze formy edukacji. Skoszarowani uczestnicy w luksusowych warunkach dostawali do ręki każdy wykład, każde ćwiczenia skopiowane... a to był 1952 rok, proszę pani! Na każdym była oczywiście pieczętka „Tajne” lub „Poufne”. Organizatorzy robili też wstępną selekcję uczestników, w takim sensie, że według oceny partyjnej któryś uczestnik był „lepszy”, a któryś „gorszy”, i temu lepszemu jako zadanie partyjne dawali pod opiekę tego słabszego, żeby go „podciągnął”. Było to doskonale zorganizowane! To było coś niesłychanego... I to wszystko napisałem, ale jednocześnie pokazałem, że merytorycznie to nie było przygotowanie do pracy kulturalno-oświatowej, i to ich właśnie strasznie zabolowało! Niewielki był nakład tej mojej książki, ale do bibliotek obowiązkowe egzemplarze już poszły, natomiast do księgarń nie zdążyli wysłać, no i nie puścili tego, tylko w szafie zamknęli. Dopiero po latach dowiedziałem się, że w tych ich szafach jest sporo egzemplarzy mojej książki; zresztą zabrałem je, ale to już grubo później.

A tak jeszcze wracając do cenzury, to na przykład taka ciekawostka... W pracy habilitacyjnej napisałem, że pracownik kulturalno-oświatowy także pełni funkcję opiekuna wśród ludzi starszych, emerytów, rencistów, którzy często żyją na bardzo niskim poziomie materialnym, poniżej minimum socjalnego. Więc to mi wykreślono, bo jakżeż to w socjalizmie mogą być ludzie żyjący poniżej minimum socjalnego! Miała być pokazywana sama szczęśliwość! Więc to były tego typu zabiegi cenzorskie... Albo zupełnie inna, późniejsza już historia, gdy moi studenci robili badania o tym, jak ludzie ozdabiają własne mieszkania w blokach. Mieli przeprowadzić wywiad, ale jednocześnie rozglądać się po mieszkaniu i robić sobie notatki obserwacyjne; do tego był kwestionariusz. Już pracowałem na uniwersytecie i dałem do powielarni uniwersyteckiej ten kwestionariusz, w którym jednym z zadań było zaobserwowanie, jakie na ścianach są obrazy – czy treści realistycznej, czy jakiejś abstrakcyjnej, religijnej... Usłyszałem wtedy – „Wykreślić religijnej!”. Takie to było zaklęcie rzeczywistości... Oby nam się takie sytuacje nie powtórzyły; oby historia nie zatoczyła koła...

## **Ważne dla mnie miejsca**

W pierwszej kolejności postawiłbym chyba Uniwersytet Wrocławski jako miejsce szczególnie dla mnie ważne. Ale niewątpliwie wymieniałbym też Uniwersytet Zielonogórski, do którego później z żoną się przenieśliśmy i ten czas zielonogórski również wspominam bardzo dobrze. Tworzyliśmy tam ze współpracownikami zgrany zespół, nie było konfliktów, jakoś umieliśmy sobie poukładać wzajemne stosunki, bardzo dobrze nam się wtedy współpracowało; tak przynajmniej widzę to z mojej perspektywy. Wspólnie zrobiliśmy kilka ważnych rzeczy; był duży projekt badawczy polsko-niemiecki, zapoczątkowaliśmy Letnią Szkołę Młodych Andragogów, do której później dołączyli poradzoznawcy, i trwa ona do dzisiaj, uruchomiliśmy serię wydawniczą „Dyskursy Młodych Andragogów”, którą później przekształciła pani na czasopismo i pięknie się ono rozwija... Z przyjemnością wspominam też seminaria naukowe, które prowadziłem. Ludzie się tam zjeżdżali, prezentowali swoje pomysły, dyskutowali... Kilka, cztery czy pięć, doktoratów się tam zrodziło i to były naprawdę dobre doktoraty. Sporo więc zostało z tego, co tam wspólnie robiliśmy. Niewątpliwie bardzo ważnym dla mnie miejscem jest Dolnośląska Szkoła Wyższa, w której zaczęliśmy z żoną pracować od 2006 roku i pracujemy do dzisiaj. Tutaj zostałem kierownikiem Zakładu Pedagogiki Społecznej i Poradzoznawstwa, w którym pracuje do dziś bardzo twórczy zespół. Ale ze znaczących miejsc w przeszłości wymieniałbym też Studium Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie we Wrocławiu, którego byłem kierownikiem, a także taką instytucję w Warszawie jak COMUK – Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury, z którą ściśle współpracowałem. To była ciekawa, nowoczesna i oryginalna w działaniach – jak na tamte czasy – instytucja, organizująca np. ogólnopolskie cykliczne seminaria, o charakterze teoretycznym i praktycznym, poświęcone szeroko rozumianej problematyce kultury, w których razem z Dzierżymirem Jankowskim braliśmy bardzo aktywny udział. Tak, to miejsce było również ważne dla mojego rozwoju.

## **Ważni ludzie**

Osobą, która odegrała w moim życiu wyjątkową rolę i zawsze była dla mnie wsparciem, jest moja żona. Od wielu też lat przyglądam się temu, co żona robi w nauce, w poradzoznawstwie, czym się zajmuje, i co tu dużo mówić, cześć jej i chwała, bo robi to dobrze. To, że z życzliwością się temu przyglądam, to za mało powiedziane; raczej – z wielkim uznaniem. Zresztą taka jest

prawda i często to powtarzam, że... Kargulowa jest o wiele zdolniejsza ode mnie. Ma ciekawsze myślenie, ma bardzo wyostrzone teoretyczne spojrzenie na rzeczywistość, co nie znaczy, że jeżeli napisze tekst i mówi: „Weź to przeczytaj”, to że jej nie nawrzucam uwag krytycznych. Rzecz polega u nas jednak na tym, że ona robi swoje, ja robię swoje i nie wchodzimy sobie w drogę. I ja żonie nie zazdrozczę sukcesów i dokonań, bo uważam, że w pełni na nie zasługuje, w pełni na nie zapracowała. Niedawno na przykład dostała międzynarodową nagrodę od Europejskiego Towarzystwa Badaczy Poradnictwa Kariery i to jest nagroda za jej zasługi w badaniach nad poradnictwem. To naprawdę wielkie wyróżnienie, które otrzymała w międzynarodowym towarzystwie, na Uniwersytecie Wrocławskim, na pięknej uroczystości zorganizowanej przez Katedrę UNESCO. A poza tym trzeba też powiedzieć, że zawsze była bardzo opiekuńcza w stosunku do naszych dzieci; jako matka była znakomita. Poświęcała się absolutnie dzieciom i one do dzisiaj to doceniają. Zresztą wszyscy w rodzinie, i dzieci, i wnuki, nawzajem się wspieramy i zawsze wspólnie przeżywamy swoje sukcesy oraz porażki.

Inni ważni dla mnie ludzie, szczególnie w życiu zawodowym, to moi nauczyciele. To znaczy na przykład pani profesor Romana Miller, u której pisałem pracę magisterską, a która była kobietą bardzo dobrze wykształconą, niesłuchanie czytana. Nas była trójka na seminarium i pamiętam, że mieliśmy zadanie napisać pierwszy rozdział pracy i pani profesor pyta: „To który z panów przeczyta?”. Ja się zgłosiłem, przeczytałem. „No i co panowie sądzą o tym?” – pyta pani profesor. Moi koledzy wpadli w zachwyty. „A pan co sądzi?” – pyta mnie. Ja mówię: „Pani profesor, jak przeczytałem to sobie teraz myślę, że to jest może ładne jako artykuł publicystyczny, ale to chyba nie o to chodzi”. „No właśnie...” – z satysfakcją powiedziała pani profesor. Pisać naukowo uczyłem się więc u profesor Miller. Potem już jak zabierałem się do habilitacji i miałem pierwszy szkic, to poszedłem do niej właśnie... A pani profesor nie miała wcześniej o mnie jako studencie najlepszego zdania, to muszę powiedzieć uczciwie. I słusznie zresztą. Ale później, jak przyszedłem do niej ze szkicem pracy habilitacyjnej i powiedziałem, co chcę napisać, to napomknęła: „O, ale się pan rozwinął”. Odetchnąłem z ulgą. Niewątpliwie profesor Romana Miller była dla mnie wielkim autorytetem.

Kolejną osobą dla mnie ważną, którą już wymieniłem, był profesor Edmund Harwas. I tu ciekawostka *à propos* zachowania promotora wobec doktoranta. Pewnego razu profesor powiedział: „Panie kolego, jest taka książka, pan ją musi przeczytać. Wie pan co, pójdziemy zaraz do biblioteki pedagogicznej w Poznaniu...” i poszedł ze mną do biblioteki, żeby osobiście tę książkę dla mnie wypożyczyć. To była życzliwość wielka, a jednocześnie

też sprowadzanie mnie trochę „na drogę cnoty”, bo jak na przykład w doktoracie coś tam emocjonalnego napisałem, to On mówił: „Proszę pana, nie może być w doktoracie, o tych czasach, które pan opisuje, takiego sarkazmu. To jest praca naukowa! Tu musi pan te emocje wyłączyć z tekstu”. Więc to były takie uwagi, które się pamięta do końca życia. Między nami była dobra współpraca, co jakiś czas wysyłałem profesorowi rozdziały. On miał jednak taki charakter pisma, że się nie dało odczytać, w związku z tym usłyszałem: „Proszę pana, ja nie będę pisał uwag, bo i tak pan tego nie odczyta, tylko jak będzie jedna kreska na marginesie, to znaczy, że coś mi nie gra, a jak będą dwie kreski, to mi bardzo nie gra”. I te kreski dawały mi do myślenia, że to ujęcie jakoś trzeba zmienić, że coś tu jest niejasne... Pamiętam też taką sytuację, że dałem mu kolejny rozdział... i idziemy już na dworzec, a nagle profesor mówi: „No proszę pana, będzie z tego doktorat!”. Niesłuchanie mnie to ucieszyło. Niewątpliwie są to ci nauczyciele, którzy odegrali w moim życiu ważną rolę, szczególnie na drodze naukowej.

Muszę też powiedzieć, że zawsze dużym wsparciem była dla mnie rodzina, w tym moje rodzeństwo, nawet już jak byłem dorosłym człowiekiem. Ja mam trzech braci i siostrę i cały czas komunikujemy się ze sobą. Jeżdżę do nich przynajmniej raz w roku, żeby chwilę pobycć, a bywało, że i posiedzieliśmy dłużej. Tam mnie sprowadzają na ziemię. I ja to sobie bardzo cenię. Nie jestem tam profesorem, dyrektorem... Jestem tam członkiem rodziny, który ma takie, a nie inne poglądy, i którego trzeba czasami obciosać i powiedzieć mu: „Słuchaj, to nie jest tak...”. Jeszcze jak mama żyła, to niekiedy mówiła: „Józek, ty coś tu kręcisz!”. Tato jak żył, to mnie na przykład wypytywał: „No to powiedz mi tak dokładnie, na czym ta twoja robota polega”. Więc to zawsze były takie bliskie, przyjazne kontakty, które z rodzeństwem do dzisiaj utrzymujemy. I rzecz w tej naszej rodzinie polega też na tym, że wszyscy wykonują swoją pracę i nikt nie ma do siebie pretensji. Wszyscy wybraliśmy sobie swoją drogę i to jest duża zasługa moich rodziców, którzy pozwalali na to, żeby sobie każdy swoją własną drogę wybrał. Nie ingerowali. Były tam czasami delikatne sugestie, mama szczególnie miała takie: „No jakbyś tu był bliżej, to by było lepiej, bo byś był częściej...”, ale to były emocjonalne kwestie, normalne zresztą. Tak czy inaczej bardzo dużo się czerpie z rodziców, z rodziny i bliskich osób; dlatego wśród ważnych dla mnie ludzi, obok ważnych profesorów, wymieniam też najbliższą rodzinę. Wiem bowiem, że gdybym był w trudnej sytuacji, to ci najbliżsi na pewno by mi pomogli. Wiem o tym, jestem o tym przekonany.

## **Kluczowe wydarzenia, sukcesy**

Z perspektywy czasu jestem dumny między innymi z faktu, że byłem dyrektorem Instytutu Pedagogiki na Uniwersytecie Wrocławskim przed przemianami i po przemianach ustrojowych. Źle bym się czuł, gdyby wiatr historii mnie zdmuchnął, to by było dla mnie trudne. Niewątpliwie rozpoczęcie studiów też było wydarzeniem znaczącym, dlatego że... powiem tak – po tych niepowodzeniach szkolnych z matematyką, niedopuszczeniem mnie do matury, powtarzaniem klasy, to ja dopiero w studium nauczycielskim uwierzyłem w siebie. To był ważny moment w moim życiu. A tak poza tym trudno mi mówić o pojedynczych ważnych wydarzeniach, bardziej powiedziałbym o cyklu dobrych dla mnie wydarzeń – na przykład, że brałem udział w tak wielu konferencjach naukowych, wygłaszałem referaty, które były przyjmowane życzliwie... To było ważne dla mnie. Otrzymałem wiele pozytywnych wzmocnień, czułem, że chyba jednak nie plotę głupstw. Mogę powiedzieć, że czułem się rozpoznawany, znany i jakoś ceniony w naszym środowisku naukowym. No i później to się przełożyło też na wybór do Komitetu Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii Nauk, gdzie byłem członkiem przez trzy kadencje, co było dla mnie szczególnym wyróżnieniem. [...] Natomiast osiągnięcie poszczególnych stopni i tytułów naukowych? Hm... dla mnie to było naturalne, wiedziałem, że muszę to robić, było to niejako wpisane w codzienność mojej pracy, taka była naturalna kolej rzeczy, po to przyszedłem na uniwersytet. Niewątpliwie sukcesem dla mnie było to, że zawodowo zdobyłem tytuł profesorski, że wypromowałem kilkunastu doktorów, że dodatkowo pomogłem jako konsultant czy recenzent w wielu rozprawach doktorskich i habilitacyjnych – to też jest ogromna satysfakcja, że można jakoś pomóc innym, że moja wiedza i doświadczenie mogą być komuś przydatne. Sukcesem jest też, że pracuję w uczelni akademickiej jeszcze do teraz, czyli to, co chciałem w życiu robić, robiłem i nadal robię.

## **To, co mnie martwi**

Nie ukrywam, że martwi mnie dzisiaj poziom polskiej pedagogiki, który zdecydowanie się obniża. Mam na to dowody, chociażby recenzując różne rozprawy naukowe, książki, artykuły w czasopiśmie... Wiele tekstów nie spełnia podstawowych standardów naukowych... A przy tym ciągle za mało jest rzetelnej, naukowej krytyki, chociaż niby w kółko się o tym mówi. To, co czasami jest przyjmowane jako doktorat... ech, szkoda gadać, niekiedy jest na



strasznie niskim poziomie. Martwi mnie też bylejakość zachowań promotorskich niektórych profesorów, którzy nie dbają o swoich uczniów i którzy pozwalają na to, by uczeń z byle czym jechał na konferencję, byle co głosił, byle co pisał... Nie czytają ich tekstów przed wygłoszeniem czy też wysłaniem do publikacji. Nie mówię, że mają za swoich uczniów pisać lub poprawiać ich wystąpienia, ale przynajmniej powinni porozmawiać z nimi, zapytać, o czym dokładnie będą mówić czy pisać. Niestety, doktoranci są często pozostawieni sami sobie i później te ich wystąpienia i publikacje wyglądają niestety tak, a nie inaczej.

## **Młodym ludziom bym dzisiaj powiedział**

Wchodzącym w życie naukowe młodym ludziom powiedziałbym dzisiaj: jak czytasz książkę, to czytaj ją ze zrozumieniem; jak coś piszesz to przeczytaj to, co napisałeś, też ze zrozumieniem. [...] A na słynne pytanie, jak żyć, odpowiedziałbym młodym ludziom – ważne, by żyć w zgodzie ze sobą. Należy też tak żyć, żeby móc spojrzeć w lustro i powiedzieć: „No jakoś ci się udało przeżyć ten dzień”; ważne, żeby mieć też do siebie odrobinę szacunku. Albo powiedzieć sobie: „O, ten dzień ci nie wyszedł. Musisz się poprawić”, albo: „Tuś jednak głupstwo palnął i nie rób tego więcej”. Bo mi niestety zdarza się, że głupstwo jakieś palnę, coś tam powiem nie tak, bo mam niewyparzoną głowę i nie zawsze panuję nad emocjami. Ale to tutaj muszę powiedzieć, że mam bardzo duże wsparcie ze strony Kargulowej. Jak czasami wzburzony czymś mówię: „A może ja to powiem!”, to ona na to spokojnie: „Słuchaj, może nie mów tego w taki sposób... Może to inaczej trzeba wyrazić, inaczej rozwiązać...”. To jest dla mnie bardzo cenne, bo bym sobie zraził ludzi, często zupełnie niepotrzebnie. Ja nie mam złych intencji, no ale mam czasami zachowania zbyt emocjonalne... mogę się zapomnieć po prostu, zagalopować, a nie chcę funkcjonować jako ten, który całe życie wszystkim naokoło tylko przykłada i nic więcej.

## **Nie lubię jubileuszy**

Muszę na koniec powiedzieć, że strasznie nie lubię jubileuszy. Bo jakaż to moja zasługa, że mam osiemdziesiąt lat? Czyja to zasługa i po co to obchodzić, skoro to nie jest nic takiego szczególnego? Osobiście nie przyczyniłem się do tego, że będąc starym... jeszcze żyję. Z tego tytułu robić wiel-

kie halo? Dla mnie takim uroczystym, sympatycznym wydarzeniem, które bardzo pozytywnie przeżyłem, było to, że jak wydałem ostatnią książkę, to na „wieczornicę” z tej okazji państwo wszyscy do mnie przyjechaliście. Bardzo się cieszyłem, że tyle osób, które zaprosiłem, zjawilo się. To była dla mnie niesłychanie satysfakcjonująca i miła sytuacja, że znaleźliście dla mnie czas, przyjechaliście i spędziliśmy wspólnie miły wieczór. Jestem Wam za to niesłychanie wdzięczny. To właśnie było dla mnie znaczące wydarzenie, nie okrągła rocznica czegoś... Bo to była jakaś moja zasługa, że miałem po co państwa zaprosić, bo napisałem książkę. Drugim takim wydarzeniem było odebranie dedykowanej nam – mnie i Kargulowej – książki, napisanej przez naszych uczniów. Dla mnie to największa satysfakcja i radość, że jednak w jakimś środowisku ktoś mnie nadal postrzega pozytywnie, pomimo upływu lat, i że mogłem w swoim życiu robić to, co robiłem, starając się przy tym żyć uczciwie i w zgodzie z samym sobą...

## Bibliografia

- Bron A., *Biograficzność w badaniach andragogicznych*, „Dyskursy Młodych Andragogów” 2009, t. 10, s. 37–54.
- Czubak-Koch M., *O społecznym uczeniu się w Letniej Szkole Młodych Andragogów*, „Dyskursy Młodych Andragogów” 2009, t. 10, s. 107–115.
- Górska R., *„Nauczyciele potrafią rozmiłować w swoim przedmiocie...” – pedagogiczne refleksje we wspomnieniach Mistrza*, „Rocznik Andragogiczny” 2014, s. 33–48.
- Jurgiel-Aleksander A., *Jak edukacja i dla kogo? Biografie edukacyjne dorosłych i ich społeczny wymiar*, „Rocznik Andragogiczny” 2015, s. 79–100.
- Olejarz M., *Szkoła Młodych Andragogów miejscem wzajemnego uczenia się nauczycieli akademickich*, „Dyskursy Młodych Andragogów” 2006, t. 7, s. 5–22.
- Olejarz M., *Letnie Szkoły i Dyskursy Młodych Andragogów (1999–2009). Fakty – doświadczenia – refleksje*, „Dyskursy Młodych Andragogów” 2009, t. 10, s. 7–23.
- Siarkiewicz E., Wojtasik B. (red.) (2016), *Uczenie się – doświadczanie – immersja. Poradnictwo zaangażowane*, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław.
- Solarczyk-Szwec H., *Cztery ćwiartki biograficznego uczenia się*, „Rocznik Andragogiczny” 2015, s. 119–133.
- Woźnicka E., *„Urzekli mnie moi uczniowie...” – osobiste refleksje we wspomnieniach Profesor Olgi Czerniawskiej*, „Rocznik Andragogiczny” 2015, s. 22–38.